

## Wrocławianie na szczytach świata

Z Bogdanem Jankowskim, himalaistą i instruktorem taternictwa  
rozmawia Andrzej Jerie

*Andrzej Jerie: Co wiemy o początkach polskiego alpinizmu we Wrocławiu?*

**Bogdan Jankowski:** Początki polskiego alpinizmu we Wrocławiu są związane z nazwiskami Tadeusza Zipsera i Andrzeja Wiszniewskiego. Obaj byli później rektorami Politechniki Wrocławskiej, Tadek był pierwszym rektorem z wyboru. Ale te historie znam tylko z opowiadań, bo moja współpraca z klubem rozpoczęła się w 1959 r., kiedy działalność taternicka we Wrocławiu już kwitła. A opowiadania były takie, że kiedyś młodzi taternicy jechali pociągiem do Jeleniej Góry i zobaczyli przez okno wystające z lasu skały. To były Sokoliki. Postanowili zobaczyć je z bliska, sprawdzić, czy da się na nie wspiąć. Wysiedli z pociągu i wybrali się na miejsce. Idąc na przełaj przez las, doszli do najniższej położonej skałki. Jak głosi legenda Zipser ją poklepał i od tej pory nosi nazwę Zipserowej Czuby. Ta nazwa występuje na mapach i w przewodnikach. W Sokolikach zastano ślady działalności wspinaczy niemieckich, m.in. stare haki. Później nawiązano kontakt ze wspinaczami niemieckimi z tych stron, którzy przyjeżdżali w Sokoliki na zaproszenie kolegów. To były początki polskiej działalności wspinaczkowej w tym rejonie, ale nie działalności wspinaczkowej w ogóle.

*AJ: Czyli początki działalności klubu to wspinanie w skałkach, ale oczywiście w Tatrach też?*

**BJ:** Kiedyś istniała pewna naturalna droga w góry wysokie. Zaczynała się od solidnego kursu teoretycznego. W programie było 40 godzin rozmaitych wykładów. Uczono, oczywiście, techniki wspinania, asekuracji, ale mówiono też o geologii, etyce taternickiej... Jacek Kolbuszowski, później profesor, historyk literatury, wykładał historię taternictwa i literaturę górską. Tadeusz Zipser, jako architekt, przepięknie rysował z pamięci na tablicy tatrzańskie granie, szczyty, przełęcze, przełączki, podawał ich nazwy. Później, na wiosnę, jechano się w skałki na kurs praktyczny, a latem kto chciał, mógł wybrać się na kurs tatrzański, najpierw letni, później zimowy. Kursy tatrzańskie organizowały wtedy kluby z pomocą swoich instruktorów. To były początki. Ci, którzy wytrwali przy wspinaniu, a mieli dobre wyniki w Tatrach, jechali w góry wyższe – Alpy, Kaukaz, a kto tam dobrze się wspiął, mógł mieć szczęście i pojechać na wyprawę w góry jeszcze wyższe Himalaje, Karakorum... To była naturalna droga. Oczywiście, nie wszyscy przechodzili ją całą.

*AJ: Tak jak Pan?*

**BJ:** Poniekąd tak. Przez przypadek zetknąłem się ze wspinaniem jeszcze przed kursem. Latem 1959

r. zaprosił mnie do Morskiego Oka mój nieżyjący już przyjaciel, Andrzej Barszczewski, taternik z Warszawy. Mieliśmy za sobą wiele rajdów studenckich w Bieszczadach, Beskidach, w Górach Świętokrzyskich. Andrzej musiał jednak nagle wyjechać. Zdążył tylko zostawić mi swój przewodnik Paryskiego (Witold H. Paryski, *Tatry Wysokie. Przewodnik Taternicki*) i wprowadzić do Kurnika (Stary kurnik przy schronisku w Morskim Oku – tam na pięterku mieszkali taternicy, przyp. red.). Mieszkały tam, już wtedy sławne, osoby takie jak Adam Skoczyła, Janek Długosz... Będąc pierwszy raz w tym środowisku, nie śmiałem proponować im wspólnych wyjść. Poszedłem solo na Mnicha – jakoś udało mi się wejść przez płytę, potem na Mięguszwiecki Szczyt. Jesienią po powrocie do Wrocławia zapisałem się na kurs teoretyczny. Wiosną był kurs skałkowy, potem Tatry i tak dalej. Czyli bez skrótów przeszedłem całą drogę, jaka wtedy była normalnie praktykowana. Od pierwszej wspinaczki w Tatrach do pierwszej wyprawy w góry najwyższe (Kunyang Chhish w Karakorum) minęło dwanaście lat. Po drodze były Alpy, Pamiro-Ałaj, Pamir. Teraz zdarza się, że ludzie zachynają swoją przygodę z górami od Himalajów.

**AJ:** *A Wy, w tamtych czasach zaczynaliście się wspiąć od razu z marzeniami o górach wysokich i perspektywą mierzenia się właśnie z nimi?*

**BJ:** Na ogół tak. Zwykle do klubu przychodzili ludzie zainteresowani górami, czytani w literaturze górskiej. Wtedy nie było tylu górskich książek i albumów co teraz. Była klasyka – Kurek, Groński, Żuławski, Długosz, Skoczyła. Zналиśmy te wszystkie pozycje i każdy w marzeniach widział siebie w górach wysokich. Oczywiście, nie wszyscy tam docierali. Na kurs zapisywało się 30–40 osób, z tego w Tatrach na kursie letnim bywało kilka. W klubie zostawały z takiego całego kursu 2, 3 osoby. Sztucznych ścianek w ogóle nie było, nie było zawodów. Zresztą zawody traktowaliśmy jako coś...

**AJ.:** *...poniżej własnej godności?*

**BJ:** Tak, jako coś śmiesznego. Zawody wspinaczkowe wymyślili chyba Rosjanie, później ten pomysł stopniowo przejęli od nich inni. Były nawet organizowane w naszych skałkach, z udziałem wspinaczy radzieckich. Teraz to jest powszechne

i ludzie robią szalenie trudne rzeczy. Niektórym to wystarcza.

**AJ:** *Towarzyszyło Wam wtedy poczucie elitarności?*

**BJ:** W jakimś sensie tak. Taterników, alpinistów było niewiele. Nie ogłaszaliśmy naboru na kursy, nie reklamowaliśmy ich. Nie zachęcaliśmy nikogo do wspinania wiedząc, że to zajęcie obiektywnie niebezpieczne. Kiedyś na uczelni podszedł do mnie chłopak, który chciał się zapisać na kurs. Kiedy zapytałem go, jak mnie tu znalazł, powiedział – „trzy lata szukałem kontaktu z klubem...”

**AJ:** *Mówimy o alpinizmie jako sporcie, ale w czasach kiedy zaczynaliście, w latach 50., 60. nie było chyba mowy o rywalizacji. To nie był ani cel, ani powód organizowania coraz to śmielszych wypraw górskich?*

**BJ:** Tak, zdarzały się nawet wyprawy, które nie ujawniały, kto wszedł na szczyt, bo panował pogląd, że na sukces pracują wszyscy. Każdy robi to, co może, i los, sytuacja decydują, komu dane jest osiągnąć wierzchołek.

**AJ:** *W polskim himalaizmie takie podejście obowiązywało chyba do zimowej wyprawy na Everest?*

**BJ:** Później też tak było. Andrzej Zawada zawsze mówił – mam nagrane jego przemówienie na koniec wyprawy, w którym to dobitnie podkreślił – że wszyscy pracowali na sukces, również Szerpowie i wszyscy dostaną medale, włącznie z Szerpami. Ale nazwisk zdobywców szczytu nie zatajaliśmy.

**AJ:** *Po przejściu podstawowych kursów bardzo szybko zaczął Pan szkolić.*

**BJ:** W 1964 r., po kursie na Hali Gąsienicowej, zostałem formalnie instruktorem. W tym samym kursie uczestniczyła Wanda Rutkiewicz, wtedy jeszcze Błaszkieviczówna. Pamiętam taką śmieszną historię, kiedy odbywał się egzamin z topografii w schronisku w Murowańcu w tej małej sali z drzwiami – tam siedziała komisja, a w dużej sali odbywała się tzw. giełda. Kto wychodził z egzaminu, był pytany przez pozostałych „co miałeś?”, Miedzy innymi Wanda zapytała mnie, a może kogoś innego:

– O co cię z tej topografii pytali?

– Wszystko wiedziałem, tylko nie wiedziałem, gdzie są Piżamkowe Turnie.

– Piżamkowe Turnie? I ja nie wiem... – powiedział Wanda i poleciała do stołu, przy którym siedzieli Zdzisław Dziędzielewicz i inni

starsi taternicy, poważni, szanowani, przedwojenni, i pyta:

– Słuchajcie, gdzie są Piżamkowe Turnie?

Oni zorientowali się, o co chodzi i mówią:

– Nie wiesz? A wiesz gdzie jest Babska Szyja?

– Wiem – Wanda na to, bo nie wypadało jej powiedzieć, że i tego nie wie.

– No to poniżej Babskiej Szyi – wszyscy gruchnęli śmiechem. Wanda obraziła się śmiertelnie. Chyba właśnie na mnie. Ona się często na mnie obrażała.

**AJ:** *Właśnie, we Wrocławiu mamy świadomość, że Wanda Rutkiewicz była wrocławianką. Pamiętamy, że to Pan zabrał ją pierwszy raz w skałki. Jednak większej świadomości wrocławskich sukcesów nie mamy. Mało kto wie, że to właśnie wrocławianie weszli jako pierwsi Polacy na ośmiotysięcznik, że tacy znani taternicy jak Kurtyka czy Wielicki to ludzie wywodzący się z wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego.*

**BJ:** Rzeczywiście, Broad Peak Middle był pierwszym szczytem ośmiotysięcznym, i to dziewiczym, zdobytym przez Polaków. Niestety, ten sukces był okupiony śmiercią trzech uczestników wyprawy. Myślę, że ci, którzy interesują się taternictwem, alpinizmem, powinni to wiedzieć. Faktycznie, wiele sławnych postaci alpinizmu polskiego wywodzi się z Wrocławia: Wandzia Rutkiewicz, Krzysiu Wielicki, Wojtek Kurtyka. Cała ta trójka kończyła elektronikę na Politechnice Wrocławskiej. Później oni wszyscy z Wrocławia powyjeżdżali: Wanda do Warszawy, Krzysiek na Śląsk – w Tychach pracował w fabryce samochodów, póki nie zajął się wyłącznie wspinaniem, Wojtek Kurtyka osiadł gdzieś pod Krakowem. Nie stracili wprawdzie kontaktu z Wrocławiem i nie wypierają się korzeni wrocławskich, ale związali się też z innymi środowiskami. Sądzę, że zainteresowani alpinizmem znają te nazwiska i pewnie znają sukcesy wrocławian z okresu, kiedy te sukcesy były, kiedy klub był mocny. W szczytowym okresie, za mego prezesowania, liczył 600 osób. Prawie wszystkich znałem z imienia i nazwiska, wiedziałem co robili, jakie mieli osiągnięcia. To dawne dzieje. Potem klub podupadł z powodu wypadku na kursie i związanego z nim wyroku sądu, z wykonania którego nie mógł się wywiązać finan-

sowo. Musiał się rozwiązać. W tej chwili życie klubowe jakby ożyło. Klub istnieje, jest w nim wielu bardzo sympatycznych, energicznych młodych ludzi, którzy organizują wspólne wyjazdy. Klub wrócił prawie do dawnej nazwy. Nazywa się teraz Wrocławski Klub Wysokogórski. Działa i może znowu będziemy mieli jakieś sukcesy.

**AJ:** *Chciałbym jeszcze wrócić do złotych lat wrocławskiego klubu. Jak wyglądała wtedy organizacja wypraw w najwyższe góry?*

**BJ:** Były wyprawy centralne, które miały tę zaletę, że ich uczestnicy nie musieli partycypować finansowo w kosztach, i były wyprawy środowiskowe – mniejsze, chociaż niekiedy mniej ambitne. Wyprawy centralne zdobywały – choć z trudem – fundusze od sportowych władz kraju, z GKKFiT (Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki). Często były dofinansowane dodatkowo z zagranicy np. przez mieszkającego w Szwajcarii, majątnego Polaka Juliana Godlewskiego. Wyprawa na Kunyang Chhish właśnie od niego uzyskała dewizy. Godlewski był ogromnie zasłużonym dla Polski patriotą. Przyjeżdżał do kraju, wysiadał z samolotu z walizką oklejoną polskimi flagami, fundował bezcenne dary dla Wawelu, subsydiował Zakład dla Niewidomych w Łaskach, finansował udział Polaków w olimpiadach. Nie dofinansował tylko uczestników olimpiady w Moskwie. Tłumaczył, że „rubli to on nie ma”. Czasem z konieczności robiło się wyprawy międzynarodowe i wtedy udziałowcy zagraniczni zapewniali dewizy, bo złotówki były niewymienne. Kiedyś wyprawy były dużo tańsze. Pamiętam, że podczas wyprawy na Kunyang Chhish nasz fundusz dewizowy to było 5 tysięcy dolarów i to wystarczyło. Jeszcze przywieźliśmy resztę i wpłaciliśmy do banku. Później była próba zimowego wejścia na Lhotse. To była czysto polska wyprawa. Zakończyła się 250 metrów przed szczytem. Zezwolenie było jesienne, bo jeszcze wtedy kraje himalajskie nie wydawały zezwoleń na wyprawy zimowe. Zimowy Everest był czysto polski, też za polskie pieniądze. Natomiast już K2 – pierwsza, zimowa próba i pierwsze zimowe zezwolenie, które dostał Andrzej Zawada, to już była wyprawa międzynarodowa. Dokooptowaliśmy Kanadyjczyków i Brytyjczyków. No i ci zagraniczni uczestni-

cy wnieśli dewizy. Brytyjska firma Karrimor dała sporo sprzętu. Jak podliczyliśmy, koszt dewizowy wyprawy sięgał 600 tysięcy dolarów. To jest szalona różnica w stosunku do kosztu tych pierwszych wypraw. K2, jak wiadomo, do tej pory zimą nie zostało zdobyte.

**AJ:** Oczywiście, były też inne sposoby finansowania wyjazdów?

**BJ:** Tak, to, o czym mówiłem, dotyczyło wypraw centralnych. Ja miałem to szczęście, że zawsze uczestniczyłem w wyprawach centralnych, no i nie musiałem ich dofinansowywać, na co zresztą nie było mnie, jako pracownika nauki, w żaden sposób stać. I tak musiałem brać urlopy bezpłatne i w tym czasie nie zarabiałem. Ale były też wyprawy klubowe, środowiskowe. Te wyprawy pieniądze miały głównie z prac wysokościowych. Koledzy malowali wysokie kominy, konserwowali chłodnie kominowe, maszty. Przy klubach powstawały firmy. Część zarobionych pieniędzy można było użyć na prywatne potrzeby – sprzęt alpinistyczny, pobyty w górach, a część szła do wspólnej kasy i za to organizowało się wyprawy.

**AJ:** Był to jakiś sposób na tworzenie prywatnego biznesu w socjalistycznej rzeczywistości?

**BJ:** Można powiedzieć, że tak, ale to się odbywało w ramach przewidzianych przez prawo. Te firmy przy klubach to była tzw. akcja socjalna młodzieży. Oprócz tych pieniędzy z prac wysokościowych na pokrycie dużej części kosztów wyprawy szło to, co już nieoficjalnie udawało się wywieźć za granicę i tam sprzedać. Braliśmy dużo więcej rzeczy, niż potrzebowała wyprawa – materace piankowe, namioty, sławne polskie kryształ, które miały duże powodzenie za granicą. Przy tej okazji niektóre osoby ze środowiska nabierały doświadczenia, przekonali się, że można założyć własną firmę. Na ogół były to sklepy z odzieżą hinduską. To pozwalało im utrzymać siebie z rodziną w Polsce i jeszcze od czasu do czasu wyskoczyć na jakąś wyprawę. Tak działali Anka Czerwińska, Wojtek Kurtyka. Chyba też Krzysiek Wielicki od czegoś takiego zaczynał. Potem założył dużą firmę, którą prowadzi do tej pory.

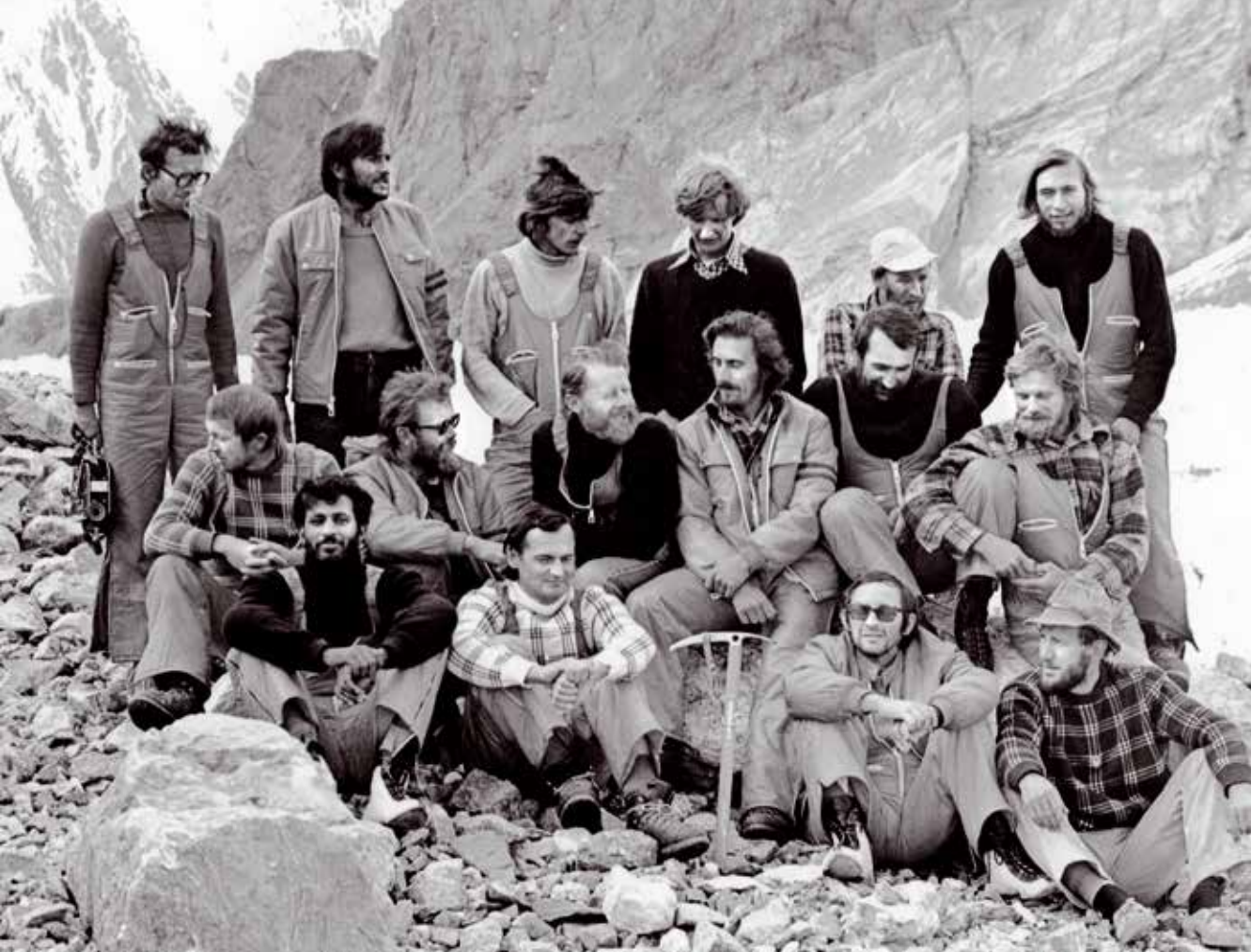
**AJ:** Pieniądze to jedno, ale jak radziliście sobie z władzami, przecież wyprawy wiązały się wyjazdami zagranicznymi?

**BJ:** O paszport, zwłaszcza indywidualny, było trudno, ale wyprawy były traktowane inaczej – jako wyjazd służbowy. Paszport był niby-prywatny, ale była tam wbijana literka „s” co oznaczało służbowy. Tych paszportów nie można było trzymać w domu, oddawało się je do Klubu Wysokogórskiego, potem Polskiego Związku Alpinizmu, ale na wyprawy paszporty do nas wracały. Trzeba powiedzieć, że często udawało się przekonać ludzi aparatu partyjnego do idei alpinizmu, do tego, że my zdobywamy dla Polski sławę, wchodząc na szczyty – i oni często pomagali. Pamiętam, jak kiedyś rektor Tadeusz Porębski (Rektor Politechniki Wrocławskiej w latach 1969–1980 – przyp. red.), zastępca członka Komitetu Centralnego, nie chciał mi dać urlopu na wyprawę, chociaż w podaniu pisałem, że jestem odpowiedzialny za łączność, od której zależy bezpieczeństwo uczestników. Wtedy Zawada poszedł do Jaroszewicza, członka Biura Politycznego KC PZPR. Ten przy Zawadzie zadzwonił do Porębskiego jako towarzysza i urlop dostałem od ręki.

**AJ:** A Służba Bezpieczeństwa wami się nie interesowała?

**BJ:** Oczywiście, że się interesowała. Myślę, że na wielu, jeżeli nie na każdej, wyprawie był ktoś, kto obiecał współpracę i składanie relacji. Wielu osobom takie propozycje dawano, wielu grożono, że jeżeli nie zgodzą się na współpracę, nie będą nigdzie wyjeżdżać, bo nie dostaną paszportu. Trudno powiedzieć, kto się zgadzał, kto się nie zgadzał. Ludzi stosowali różne wybiegi. Np. w momencie kiedy panowie po rozmowie wymagali, żeby nic nikomu nie mówić, to człowiek odpowiadał: „No, tego zagwarantować nie mogę, bo ja mam taki charakter, że o wszystkim opowiadam. Postaram się, ale na pewno zapomnę i opowiem”. To czasem ratowało. Znany jest przypadek Wandy Rutkiewicz, kiedy umówiło się z nią dwóch panów w Monopolu, we Wrocławiu. Zaproponowali jej niedwuznacznie współpracę. Wanda słuchała, słuchała i w pewnym momencie zakrzyknęła na cały głos: „Co, to ja mam donosić na kolegów? Co mi panowie proponujecie? To świństwo!” Ludzie zaczęli patrzeć na nich, panowie szybko wyszli i chyba dali jej spokój.





Uczestnicy wrocławskiej wyprawy na Broad Peak Middle w Karakorum, 1975. Stoją od lewej: Andrzej Skoczylas, Andrzej Sikorski, Marek Kęsicki, Jan Juszkiewicz, Marian Sajnog, Janusz Kuliś. Siedzą w drugim rzędzie: Bogdan Nowaczyk, Kazimierz Głazek, Tadeusz Barbacki, Roman Bebak, Stanisław Anioł, Wojciech Jonak. Siedzą w pierwszym rzędzie: Abdul Gani - oficer taczniakowy, Janusz Fereński, Zbigniew Jurkowski, Jerzy Woźnica. Fot. Ewa Abgarowicz / zbiory Bogdana Jankowskiego

**AJ:** *Z jednej strony byliście kłopotem, ale z drugiej – źródłem sukcesów i dumy na arenie międzynarodowej. Polacy jednak odnosili sukcesy na skalę światową.*

**BJ:** Zwłaszcza w okresie, kiedy kraj nie bardzo mógł się pochwalić innymi sukcesami, te, które były, m.in. sukcesy alpinistów, były doceniane. Na pewno wielkim sukcesem, i to nienaciągany, było pierwsze zimowe wejście na szczyt ośmiotysięczny, a tym szczytem był najwyższy, najhonorniejszy – Everest. Wszyscy wrócili żywi, zdrowi do kraju. Wiadomość o sukcesie rozeszła się szeroko. Pamiętam rozmowę radiową z Hanką Wiktorowską, która przez wiele lat była sekretarzem generalnym, najpierw w Klubie Wysokogórskim, potem w Polskim Związku Alpinizmu (znała wszystkich i wszystko). Zapytała:

– Kogo zawiadomić?

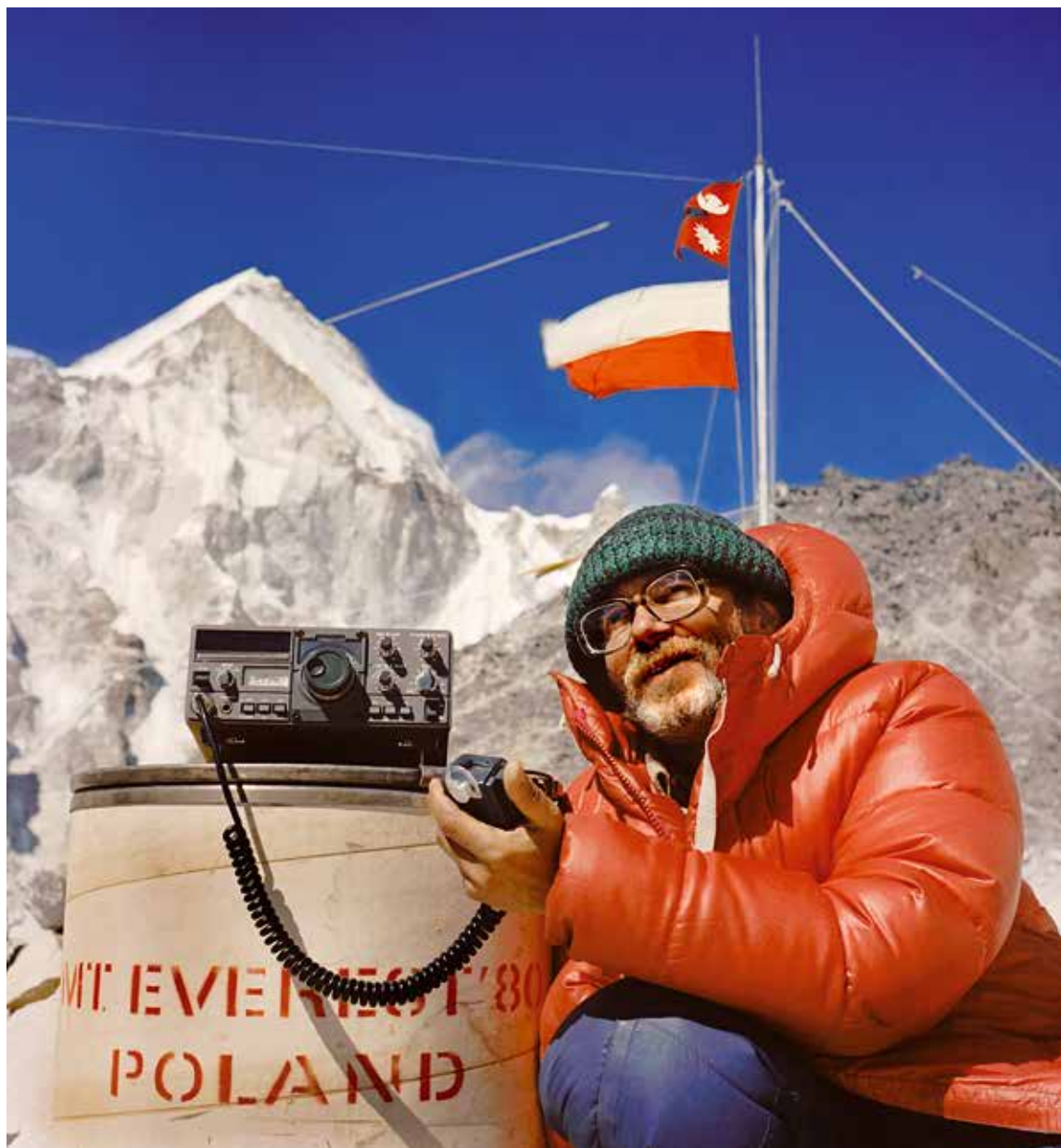
– Wszystkich – odpowiedział Andrzej – od pierwszego sekretarza do papieża – dodał półżartem, a Hanka jak usłyszała, tak zrobiła. Posłała depesze do wszystkich, łącznie z pierwszym sekretarzem Gierkiem i do papieża też. Papież natychmiast przysłał piękny list gratulacyjny. Gierk wyznaczył spotkanie, obiecał odznaczenia, nagrody, ale jak się dowiedział, że wiadomość poszła też do papieża, wszystko odwołał.

**AJ:** *A wszystko zaczęło się od niezwyklej możliwości kontaktu radiowego z Polską. To Pan był na wyprawach odpowiedzialny za łączność?*

**BJ:** Na pierwsze wyprawy jeździłem tylko w roli wspinacza. Później, kiedy pojawiły się takie możliwości, z racji mojego elektronicznego przygotowania zawodowego i z racji tego, że byłem krót-

kofalowcem, zacząłem zajmować się ubocznie wyprawową łącznością. Zanim zaczęto używać radia, jedyną formą łączności wspinaczy z bazą były rakiety. Używano ich zwłaszcza w ówczesnym Związku Radzieckim. Wyprawa brała lekkie, prymitywne raketnice, do których wkładało się raketę i uderzało o kamień częścią, z której wystawała iglica. Była umowa, że o określonej godzinie, zwykle była to 9 wieczorem, kiedy jest już ciemno, zespoły wspinaczkowe odpalają rakietę. Zielona oznaczała, że wszystko jest w porządku, czerwona była prośbą o pomoc. Potem stopniowo zaczęło wchodzić do użytku radio. Pierwszą prymitywną łączność radiową mieliśmy w Pamiro-Ałaju, na wyprawie w 1969 r. To była wyprawa zorganizowana przez skupiający wspinających się naukowców klub wysokogórski „Vertical” z Nowosybirsk i nasz Klub Wysokogórski. Pamiro-Ałaj był wtedy zupełnie dziewiczym z punktu widzenia alpinistycznego rejonem. Najwyższy szczyt tego rejonu to Skalistyj (5621 m), a pierwsze wejście na ten trudny szczyt zrobiła nasza, pięcioosobowa ekipa. Z pięciu zdobywców już tylko ja żyję. Wyprawa odniosła piękne sukcesy, o których rzeczywiście jakoś mało wiadomo. Nawet Rosjanie niewiele wiedzą na ten temat. Padło wtedy wiele szczytów wcześniej dziewiczych, pięknych, bardzo trudnych. Część zdobyliśmy w czysto polskich zespołach, tak jak Skalistyj, część zdobyli Rosjanie w swoich zespołach, część w zespołach mieszanych. Prawem pierwszych zdobywców, z naiwnym przekonaniem, że się utrzymają, ponadawaliśmy szczytom nazwy. Rosjanie akurat w dniu lądowania Apollo na Księżycu, zdobyli piękny, strzelisty, przypominający raketę szczyt i nazwali go Apolon. Oczywiście, te nazwy się nie zachowały, jako niezgodne z miejscowym słownictwem. To była piękna wyprawa. Był na niej tylko jeden komsomolec, który już na początku musiał wrócić z powodu zapalenia płuc, i jeden partyjny – Tadzju Rewaj, kierownik naszej grupy. Ale wracając do łączności, Rosjanie mieli wtedy prymitywny transceiver własnej roboty. Rozmawiali co parę dni z kołchozem Woruch odległym o kilkadziesiąt kilometrów i przez to właśnie radio przysłała tragiczna wiadomość o górskiej śmierci żony Tadzja Rewaja, która w tym czasie kierowa-

ła wyprawą w Wysoki Atlas w Maroku. Nie było pewności, czy dobrze zrozumieliśmy komunikat, bo łączność była słaba, ale Tadzju wyjechał i wiadomość, niestety, się potwierdziła. Później używaliśmy na innych wyprawach radiotelefonów, które na cześć Klimka Bachledy nosiły jego imię. Klimki były skonstruowane przez Wojtkę Nietyk-szę, inżyniera, znakomitego elektronika, naszego przyjaciela z Warszawy. On zrobił kilkadziesiąt takich radiotelefonów dla GOPR-u, ale i wspinacze mieli ich kilkanaście. Znakomicie się spisywały. Służyły do utrzymywania łączności lokalnej między bazą wyprawy a grupami, które działały wyżej w górach. Na wyprawach Andrzeja Zawady był taki zwyczaj, że wieczorem, zwykle o 20 lokalnego czasu, kiedy wszyscy byli już w namiotach swoich obozów, baza nawiązywała po kolei łączność z każdym obozem. Jak wszyscy się zgłosili, Andrzej prowadził część oficjalną łączności. Pytał, jak minął dzień, co udało się zrobić, wydawał dyspozycje na dzień następny. A potem była część artystyczna audycji radia Base Camp, jak je nazywaliśmy. Wtedy nadawało się ulubione melodie tych, którzy siedzieli gdzieś wysoko w szarpanych wiatrem namiotach, w mrozie. Do prowadzenia części artystycznej audycji udawało się czasem zaangażować kogoś sympatycznego z zewnątrz. Podczas wyprawy na Lothse piosenki śpiewały dwie miłe Japonczki, które nas odwiedziły i którym tak się w bazie podobało, że zostały z nami na dłużej. Później, na pierwszej zimowej wyprawie na K2, kierowanej znów przez Andrzeja Zawadę, była 18-letnia Karolina z Kanady. Przyjechała nie jako wspinacz, ale w grupie trekkingowej. Ona też prowadziła artystyczne audycje radia Base Camp. Kiedyś Alek Lwow skarżył się z górnego obozu, że mu tyłek marznie, na co Karolina, rozumiawszy go, chociaż mówił po polsku, wzięła mikrofon i powiedziała: „Na zimna dupa gin and tonic is the best” i puściła melodię „Gin and tonic”. Mam to nagrane. Na klimkach udawało się czasem nawiązać dalszą łączność. Idąc z karawaną pod Lothse zostawiliśmy jednego klimka w Namche Bazar na posterunku policji. Powiesiliśmy na maszcie antenę i codziennie mieliśmy z nim krótką łączność. Kiedy zginął na wyprawie Staszek Latałło, akurat spadł śnieg. Stoki pokryły się świeżą war-



Polska narodowa wyprawa Mt. Everest'1979/80, która dokonała pierwszego zimowego wejścia na ten szczyt. Bogdan Jankowski rozmawia z bazy z polską ambasadą w Kathmandu, z amb. Andrzejem Wawrzyniakiem / Fot Bogdan Jankowski

**Bogdan Jankowski** – dr inż., pracownik naukowy Politechniki Wrocławskiej, taternik, himalaista. Od 1964 r. instruktor taternictwa. Brał udział w wytyczaniu nowych dróg w Tatrach i Alpach. Zdobywca 5 dziewiczych szczytów w Pamir-Ałaju, uczestnik wielu wypraw w Karakorum i Himalaje. W latach 1977–1992 członek Zarządu Polskiego Związku Alpinizmu, w 1995–1998 jego wiceprezes. W latach 1974–1980 prezes Klubu Wysokogórskiego we Wrocławiu. Jako licencjonowany radioamator-krótkofalowiec zajmował się łącznością radiową w górach i kierował zespołem łączności radiowej PZA. Pomyślnie opiekun nowoczesnej sieci łączności radiowej PZA w Tatrach. Dwukrotnie w 1971 r. i 1980 r. odznaczony złotym medalem „Za wybitne osiągnięcia sportowe”. Laureat nagrody „Fair Play” Polskiego Komitetu Olimpijskiego (1999 r.). Współautor książki *Ostatni atak na Kunyang Chhish* (1973 r.). Autor wielu artykułów w „Taterniku” i licznych zdjęć i panoram górskich.





Wanda Rutkiewicz (Błaszkwiczówna) w Sokolikach / Fot. Bogdan Jankowski



stwą puchu i warunki łączności znacznie się pogorszyły. Operator w Namche zrozumiał, że ktoś zginął, ale nie rozumiał kto i trzeba było coś zrobić, żeby wszystkie rodziny nie „wyłaziły ze skóry”. Szybko zrobiłem z magnetofonu generator akustyczny i morsem, dwoma drucikami zamiast klucza, nadałem komunikat precyzujący, że zginął operator Stanisław Latało i prosimy o przekazanie wiadomości do Routersa. Okazało się, że na policji był człowiek po wojsku, po łączności. Odebrał, przekazał i w ten sposób wiadomość poszła w świat. Zresztą powiem jako ciekawostkę, że na tych samych klimkach podczas wyprawy na Everest odbieraliśmy naszych goprowców z kraju, i to kilkakrotnie. Raz w hotelu w Kathmadu i raz w bazie wyprawy. Słyszeliśmy, jak Turbacz woła Rabkę, Rabka odpowiada. I gdyby to byli krótkofalowcy, którzy mają wyczulone ucho, tobyśmy z nimi nawiązali łączność. Ale goprowcy sygnał poniżej pewnego poziomu uważali za zakłócenie i nam nie odpowiadali.

*AJ: A po klimkach?*

**BJ:** Andrzej Zawada, który lubił wszelkiego rodzaju technikę, chciał mieć łączność ze światem. Już podczas zimowej wyprawy na Everest mieliśmy radiostacje krótkofalowe – jedną radiostację firmową Kenwooda kupioną gdzieś zagranicą przez Wojtka Nietykszę i trzy przez niego zrobione, małe, które nadawały się do łączności na niewielkie odległości rzędu kilkuset kilometrów. Wobec tego w bazie pracował ten firmowy transceiver, a mniejsze radiostacje zainstalowaliśmy w Katmandu, w polskiej ambasadzie i w ministerstwie turystyki Nepalu. W Nepalu nigdy nie udało mi się uzyskać zezwolenia na łączność amatorską ze światem i z krajem. Niemniej spod Everestu nieoficjalnie rozmawialiśmy z Warszawą prawie codziennie. W Katmandu nie mogli tego słyszeć w żaden sposób, bo Katmandu leżało w tak zwartej strefie martwej. Jak się pracuje na odpowiedniej długości fali i o odpowiedniej porze doby, to daleko słychać, a blisko nie. W dniu kiedy Everest został zdobyty, mieliśmy łączność ze szczytem na klimkach i za chwilę mieliśmy łączność z krajem... nielegalną. W Warszawie, w radiostacji obsługiwanej przez Waldka Kunę, znakomitego krótkofalowca, byli prezes PZA Andrzej Pacz-

kowski, Hanka Wiktorowska, Wojtek Nietyksza, moja żona. Jak tu nie powiedzieć, że weszliśmy na szczyt. No więc zdaję sprawę, że niepokoimy się, bo właśnie schodzą, i proszę, żeby zatrzymali wiadomość przez 3 godziny, bo mamy za chwilę łączność z Ministerstwem Turystyki, prześlemy im wiadomość i wtedy już będzie można puścić ją w świat. Za chwilę, o umówionej godzinie, o której codziennie rozmawiałem z Ministerstwem Turystyki, wołam ministerstwo i nic. Raz, drugi, dziesiąty. Nie odpowiadają. Za godzinę mam łączność z ambasadorem Andrzejem Wawrzyniakiem no i mówię – panie ambasadorze, mamy problem, bo wiadomość poszła do kraju, a ministerstwo nie odpowiada.

– A tak, tak, bo u nas prądu w Katmandu nie było, ale proszę się nie martwić, ja zaraz zadzwonię do pana Sharmy w ministerstwie, on zwoła konferencję prasową i wszystko będzie dobrze.

Zadzwonił do Sharmy, a on prosi, żeby zatrzymać w tajemnicy wiadomość, bo konferencję zrobi następnego dnia rano. No a wieczorem o 20 już usłyszał z radia, że Polacy byli na Evereście. Zrobiła się awantura. Szarma ma pretensje do pana Wawrzyniaka. Ambasador zaklina się, że on nie puścił wiadomości, a puścił przez TASS, bo korespondent go zapewnił, że mają szyfry nie do złamania. Ja tłumaczyłem, że to jest rok maksimum plam na Słońcu i to powoduje, że jest taka dobra propagacja, że w Polsce słyszeli nas ze szczytu. I nawet zamówiłem depeszę po angielsku (oni, oczywiście, wszystkie depesze czytali): „Gratulujemy, słyszeliśmy was ze szczytu. Doskonała łączność”. A oni swoje, że nieprawda. Dopiero po kilku latach dowiedziałem się, że Rosjanie poszli do ministerstwa i powiedzieli, że Polacy codziennie rozmawiali z Warszawą.

To była łączność krótkofalowa. W odpowiednich porach dnia, na odpowiednich zakresach fal dawało się rozmawiać ze światem. Czasem były tylko kłopoty z zasilaniem, bo okazało się, że zimą w Himalajach i w Karakorum właściwie nie ma słońca. W czasie naszej pierwszej wyprawy zimowej na K2 słońce świeciło raz na 8 dni. Karolina prowadziła dziennik, zapisywała pogodę. Mimo że baterii słonecznych miałem całą masę, energii wystarczało do łączności służbowej, ale do

amatorskich połączeń już nie. Na zimowym K2 (w 2003 r., przyp. red.) kierowanym przez Krzyszka Wielickiego, kiedy Andrzej już nie żył, były tylko dwa dni słoneczne podczas całej wyprawy. Czyli z baterii słonecznych zimą nie można było korzystać. Nie działał również wiatrak, bo wiatry były zbyt silne i porywiste. Natomiast agregat benzynowy Hondy pracował jak zegarek. Na tej wyprawie trzeba było dużo energii, bo sponsorzy wymagali codziennych relacji wideo. Była pięcioosobowa ekipa telewizyjna, z której 3 osoby wycofały się przy pierwszej sposobności, kiedy wracały wielbłądy. Czwarta osoba wycofała się nieco później. Do końca został tylko Jacek Zbudniewek, świetny fachowiec i naprawdę dzielny człowiek.

**AJ:** *To była już łączność satelitarna?*

**BJ:** W tej chwili już nikt na wyprawach nie używa fal krótkich. Są tylko małe radiotelefony UKF-owe do łączności lokalnej i łączność satelitarna ze światem. Mamy w Polskim Związku Alpinizmu pięć telefonów satelitarnych do rozmów głosowych, w tym jeden nadaje się też do szybkiej transmisji danych. Wyprawy to biorą i z łącznością nie ma problemów.

**AJ:** *To jest przepaść w technice komunikacyjnej, ale zmieniły się też chyba realia prowadzenia i organizacji wypraw, zmienili się też ludzie. Co się stało z tym zapalem do zdobywania zimą najwyższych gór?*

**BJ:** Rzeczywiście, okres świetności minął. Siedem pierwszych wejść zimowych na ośmiotysięczniki to były wejścia czysto polskie. Potem było 17 lat przerwy, aż Piotr Morawski z Włochem Simone Moro weszli zimą na Sziszapangmę. Później Piotr zginął. Dlaczego ten okres się skończył? Myślę, że głównie dlatego, że ci, którzy chcieli i mogli wspinać się zimą, zginęli. Była grupa ludzi, którzy byli w stanie wspinać się zimą, ale nie chcieli. Andrzej Zawada skarżył się pod koniec życia, że koledzy odmawiają mu udziału w wyprawach. Za jego plecami stukali się w czoło i mówili „Co ja będę się zimą męczył, narażał, kiedy prawdopodobieństwo wejścia na szczyt jest znikome. Statystyki mówią, że tylko jedna na siedem wypraw zimowych osiąga cel. Ja sobie w lecie pojedę i wejdem”. Ludzie, zwłaszcza na zachodzie, zimy nie doceniają. Starali się nie zauważać wejść zimowych,

póki organizowali je tylko Polacy. Mówili, że to jest to samo co latem. A moim zdaniem to zupełnie inna dziedzina ludzkiej aktywności i sportu. Wystarczy powiedzieć, że latem na Eweście było prawie 5 tysięcy ludzi, a zimą tylko 7 osób. To jest szalona różnica.

Po śmierci Piotra nie bardzo miał kto wspinać się zimą na ośmiotysięczniki i dopiero Simone Moro z Denisem Urubko zaczęli kontynuować to zimowe wspinanie. Ostatnio Artur Hajzer wymyślił ambitny program reaktywacji zimowego himalaizmu polskiego. Zrobił kilka wypraw latem i zimą, żeby wyłowić odpowiednich ludzi, żeby sprawdzili swoje możliwości i nabrali zimowego doświadczenia. Zobaczmy, co będzie dalej.